

Czy kino efektów specjalnych stworzyło Donalda Trumpa?

MARCIN GIŻYCKI

Naoglądałem się już tylu filmów, że niemal wszystko, z czym stykam się w życiu, kojarzy mi się z kinem. Nie jestem w tym odosobniony. Takiego *déjà vu* doświadcza wielu krytyków i ludzi parających się pisaniem o filmach. Niedawno dał temu świadectwo znakomity recenzent amerykański Owen Gleiberman w wywiadzie dla portalu Huffington Post udzielonym z okazji ukazania się jego książki *Movie Freak: My Life Watching Movies*¹. Powiedział tam między innymi, że kino wymyśliło Donalda Trumpa² już dawno temu. Takim profetycznym filmem jest *Twarz w tłumie (A Face in the Crowd)* z 1957 r.

Zapomniane już trochę dzieło Elii Kazana (według książki *Your Arkansas Traveler* Budda Schulberga) nabrało dziś niewątpliwie aktualności, i to nie tylko za sprawą Trumpa, ale wielu innych demagogów, którzy jak grzyby po deszczu zaczęli się pojawiać w światowej polityce. *Twarz w tłumie* to opowieść o niejakim Larrym Rhodesie, naturszczyku, złodziejaszku z gitarą, którego talent konfabulacyjny i potencjał medialny odkrywa w lokalnym więzieniu Marcia Jeffries (w tej roli Patricia Neal), dziennikarka pewnej prowincjonalnej stacji radiowej gdzieś w Missisipi. Larry (brawurowa kreacja Andy’ego Griffitha, który później zdobył popularność dzięki rolom w serialach telewizyjnych i własnemu show) godzi się „na próbę” zaśpiewać i opowiedzieć na żywo kilka dowcipów pod pseudonimem „Lonesome” Rhodes. Dalej wypadki toczą się lawinowo. Rhodes szybko zostaje zauważony, nie bez pomocy zakochanej w nim odkrywczynie, przez producentów w pobliskim Memphis. A to z kolei otwiera mu drogę do Nowego Jorku, gdzie staje się gwiazdą programu sponsorowanego przez producenta całkowicie skądinąd nieefektywnych tabletek na potencję. Fenomen Rhodesa polega na tym, że w jawny sposób kpi on sobie ze swoich sponsorów, przyczyniając się jednocześnie do zwiększenia sprzedaży ich produktów. Larry zostaje wynajęty w charakterze doradcy przez kandydującego na prezydenta senatora, którego kulejąca dotychczas kampania rzeczywiście nabiera wigoru. Niedawny drobny przestępca opływa teraz w luksusy, jest powszechnie znaną osobowością telewizyjną. Porzuca Marcie i zamieszkuje

z nową narzeczoną, którą wkrótce poślubia, chociaż inna kobieta twierdzi, że jest jego legalną żoną. Szczęście jednak zaczyna się od Larry'ego odwracać. Demaskowany przez jednego ze scenarzystów radiowych z początków swojej kariery, szantażowany przez agenta, który ma romans z jego żoną, Rhodes coraz bardziej traci poczucie rzeczywistości. Ostateczny cios, jak można sądzić, zadaje mu Marcia, która ukradkiem włącza mikrofon w studiu telewizyjnym podczas wyświetlania napisów końcowych programu, dzięki czemu miliony widzów mogą usłyszeć, jak uwielbiany przez nich „Lonesome” żartuje sobie z głupoty wyborców senatora, czyli nich samych. Wydaje się, że to koniec pyszałka, ale magnaci medialni nie pozbędą się tak łatwo kury znoszącej złote jajka. Już mają wobec niego nowe plany.

Rhodes, jak Trump, jest wytworem mediów. Obaj zdobywają popularność dzięki własnemu telewizyjnemu show, obaj mówią, co im ślina na język przyniesie, obrażają, kogo się da i może właśnie dzięki temu trafiają do milczącej większości. Kiedy zachęcony przez Gleibermana oglądałem film Kazana, miałem znów *déjà vu*. My przecież dobrze znamy Larry'ego Rhodesa pod innym nazwiskiem: Nikodem Dyzma. Ani „Lonesome” Rhodes, ani Dyzma nie startowali w wyborach prezydenckich (choć ta możliwość przed pierwszym nie została zamknięta), ale kino amerykańskie dało nam całą galerię dyzmo- i trumpopodobnych kandydatów do najwyższego urzędu w państwie (w przeciwieństwie do kinematografii polskiej, w której prezydent w głównej roli pojawił się tylko trzykrotnie i to jako postać autentyczna i pozytywna). Hollywood jakoś nigdy nie miało oporów w przedstawianiu prezydentów i kandydatów do Białego Domu (autentycznych i fikcyjnych), jako skorumpowanych, żądnych władzy, pozbawionych skrupułów populistów, a samych kampanii jako brudnej gry.

W *Tym najlepszym (The Best Man)*, znakomitym filmie Franklina J. Schaffnera z 1964 r. według sztuki Gore'a Vidala, dwóch polityków wysuwa się na czoło walki o nominację nienazwanej partii. Jeden, William Russell, grany przez Henry'ego Fondę, jest intelektualistą, człowiekiem zasad i idealistą. Drugi, Joe Cantwell, wzorowany na Richardzie Nixonie³ (w tej roli Cliff Robertson), to nieprzebiegający w środkach populistą, przedstawiający się, jako „rzecznik prawdziwych obywateli”. W obietnicach Cantwella pobrzmiwają dobrze znane nuty: zniesienie podatku od dochodów, zwiększenie wydatków na zbrojenia, walka z komunizmem, powstrzymanie imigracji i wzmocnienie obronności kraju. Jego hakiem na oponenta jest świadectwo lekarskie stwierdzające, że Russell przeszedł załamanie nerwowe, może więc być psychicznie nie zrównoważony. Russell z kolei ma w rękę zeznanie pewnego, skądinąd niewzbudzającego zaufania, świadka stwierdzające, że Cantwell, przykładowy mąż i ojciec, jest homoseksualistą. Kiedy Cantwell orientuje się, że przeciwnik nie jest zdolny do uciekania się do nieczystych chwytów, bez wahania odpala swoją tajną broń. Russell, którego notowania zaczynają spadać, rezygnuje z walki i apeluje do wyborców, by przerzucili swoje głosy na najmniej dotychczas wyrazistego kandydata, niejakiego Johna Merwina. *Przecież on jest nikim* – mówi zdumiony Cantwell. *Teraz już jest kimś* – odpowiada Russell, podczas gdy zgromadzeni na konwencji delegaci entuzjastycznie witają *przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych*.

Nazwisko Gore'a Vidala łączy się też z innym demaskatorskim filmem o pracującym polityku bez skrupułów: *Bobem Robertsem* Tima Robbinsa z nim samym w roli tytułowej (1992). Podobnie jak „Lonesome” Rhodes, Roberts jest folkowym

pieśniarzem z gitarą, nie kieruje się jednak plebejskim instynktem, tylko zimną kalkulacją, by dopiąć swojego celu, jakim jest fotel senatora w Waszyngtonie. Film jest udawanym dokumentem. Kamera fikcyjnego dokumentalisty brytyjskiego Terry'ego Manchastera podąża za muzykiem podczas jego podróży wyborczych po stanie Pensylwania, gdzie zdobywa on serca i głosy słuchaczy swoimi piosenkami i opiniami, w których karci lenistwo, potępia ideały pokolenia dzieci kwiatów, krytykuje ruch o prawa obywatelskie lat 60., wyznaje ideały chrześcijańskie i propaguje tradycyjne wartości rodzinne. Oczywiście stoi na straży zagrożonej demokracji, a swoich oponentów nazywa komunistami i wrogami Ameryki. Przy okazji promuje też swoją organizację charytatywną Broken Dove (Złamana Gołębicą), będącą w istocie przykrywką brudnych interesów. Przeciwnikiem Roberta (republikanina) w wyborach jest demokratą Brickley Paiste grany przez Gore'a Vidala (właściwie w roli, którą napisał wcześniej dla Fondy, jako scenarzysta *Tego najlepszego*). Ta para jest niewątpliwie echem duetu Robertson-Fonda. I tu, i tam kultura i przyzwoitość walczą z populizmem, demagogią, intrygami czy wręcz kryminalnymi poczynaniami i... przegrywają. Paiste nie uznaje kampanii negatywnej, nawet kiedy sam staje się jej ofiarą. Roberts (jak i Cantwell) uważa, że cel uświęca środki. Nie przeszkadzają mu neonaziści wśród fanów. Nie ma też oporów przed upozorowaniem na siebie zamachu, który jakoby zostawia go sparaliżowanym od pasa w dół. To tylko przypieczętowanie popularności piosenkarza i zapewnienie zwycięstwa. A odkrywający jego machinacje dziennikarz ginie, ku niekrytej radości zwolenników Roberta, od kuli, jak to zostaje oficjalnie stwierdzone, prawicowego fanatyka.

Filmów demaskujących sposoby zdobywania głosów przez politycznych demagogów oraz nieczyste, mówiąc eufemistycznie, gry wyborcze można by przytoczyć więcej, że wspomnę jeszcze *Senatora Bulwortha* (*Bulworth*, 1998) Warrena Beatty'ego czy *Idy marcowe* (*The Ides of March*, 2011) George'a Clooneya⁴. Jak to się jednak dzieje, że skoro literatura, kino i uczciwe dziennikarstwo opisały i prześwieciły już polityków w rodzaju Cantwella i Roberta, wciąż mogą oni liczyć na masowe poparcie w krajach wydawałoby się rozwiniętej demokracji. Owen Gleiberman ma na to też ciekawą odpowiedź. Otóż mówi on, że od pewnego czasu żyjemy w stanie niereczywistości (*unreality*), który jest odpowiedzialny za stworzenie warunków zaistnienia takich indywiduów, jak Donald Trump.

Termin „niereczywistość” (lub „druga rzeczywistość”) pojawiał się już w przeszłości w naukach społecznych, między innymi w odniesieniu do fałszującej fakty propagandy krajów totalitarnych⁵. Ostatnio jednak coraz częściej mianem niereczywistości określa się obraz rzeczy wykreowany przez media i brany przez odbiorców za wierne odzwierciedlenie świata zewnętrznego⁶. Ian I. Mitroff i Warren Bennis wskazują dwa główne zjawiska, które przyczyniły się do tego stanu. Pierwszym jest rozpowszechnienie się elektronicznych środków pozwalających niezauważalnie zmieniać obrazy i dźwięki. Drugim jest ludzka skłonność do zwracania się raczej ku rozrywce niż faktom, co zresztą spowodowało, że wiadomości w telewizji przekształciły się w show⁷. Smutnym dowodem rozpowszechnienia się niereczywistości jest na przykład to, że jak wykazały badania, więcej niż połowa widzów nadawanego przez stację CBS w latach 1989-1996 programu *Rescue 911*, w którym odtwarzane były *post factum* różne nagłe wypadki wymagające interwencji służb specjalnych, wierzyła, że ogląda zapis zdarzeń *in statu nascendi*.

Gleiberman natomiast upatruje jeden z głównych czynników powstania kultury nierealności w kinie efektów specjalnych, które tak się rozpowszechniło, że efekty specjalne przestały być specjalne. Efekty specjalne są, powiada krytyk, jak prażona kukurydza: kto żywi się tylko nią, musi zachorować. Rozwijając nieco myśl amerykańskiego krytyka, można by powiedzieć, że w kinie efektów specjalnych wszystko jest możliwe, a logika i prawa fizyki przestają się liczyć. Donald Trump – powiada Gleiberman – wyrzuca z siebie kompletnie nieodpowiedzialne, pełne sprzeczności opinie, ale robi to jak showman. I ludzie to kupują. Wychodzi na to, że kino sprzed lat przewidziało Trumpa, ale kino efektów specjalnych go stworzyło.

MARCIN GIŻYCKI

¹ *Film Critic Owen Gleiberman*, wywiad dla Huffington Post Live, <http://on.aol.com/video/film-critic-owen-gleiberman-519527303> (dostęp 12 IX 2016). Mowa o książce: O. Gleiberman, *Movie Freak: My Life Watching Movies*, New York-Boston 2016.

² W chwili gdy piszę te słowa, nie wiem jeszcze, jaki będzie wynik najbliższych wyborów prezydenckich w USA. Na razie Donald Trump minimalnie prowadzi w badaniach opinii publicznej przed Hillary Clinton.

³ G. Vidal, *United States: Essays 1952-1992*, New York 1993, s. 852

⁴ Swoją drogą ciekawe, że tego typu kino stało się reżyserską specjalnością znanych holly-

woodzkich aktorów: Tima Robbinsa, Warrena Beatty'ego czy George'a Clooneya.

⁵ Na przykład: C. Tighe, *Living in unreality: politics and language in the People's Republic of Poland*, „Journal of European Studies” 1992, nr 85, s. 143.

⁶ G. Weimann, *Communicating Unreality: Modern Media and the Reconstruction of Reality*, Thousand Oaks-London-New Delhi 1999, s. 359.

⁷ I. I. Mitroff, W. Bennis, *The Unreality Industry: The Deliberate Manufacturing of Falsehood and What It Is Doing to Our Lives*, New York 1993.